

Za moją siłę do życia

Polka w Berlinie

Dzień dobry szanownemu państwu, przepraszam, że zaprzątam uwagę swoimi problemami. Sprzedaję „Moz”, gazetę bezdomnych, kosztuje dwie marki. Nie mam dachu nad głową ani nic do jedzenia, ale nie chcę żebrać. Czy ktoś z państwa jest zainteresowany? „Moz”, „Moz”, sprzedaję magazyn „Moz”... Metro, U-Bahn, UFO, jadę metrem. W żółtym wagonie metra. Mają tu też kolej naziemną, tak samo żółtą, ale ona budzi we mnie strach, że nagle się wykołei, tak zapamiętałe kołysze się na boki i przyspiesza akurat na zakrętach. Jej żelazny szlak prowadzi przez Möckern-Brücke i Hallesches Tor aż do Warschauer Strasse. Współpasażerami bywają bezdomni, którzy pachną tak brzydko, że trzeba mimochodem się odsuwać. Żeby im nie robić przykrości, próbuję wytrzymać smród. Aż wysiądą. Ale oni nigdy nie wysiadają. Już to przecież zrobili... A pozostali dalej biorą udział w grze. Ci jadący. Podróżujący. Artyści. Optymiści.

Každy jest nieufny, zawsze czujny. W tym świecie jakże złym. Sfrustrowany, zestresowany i zawistny, przygnębiony i depresyjny. Nic dziwnego, że niektórzy wysiadają. Ocean bezlitosnej metropolii wyrzuca ich na margines, na brzeg. *Ale ja do nich nie należę. Ja podbiję to miasto. Jeszcze będzie leżało mi u stóp razem z Kolumną Zwycięstwa – ćwiczę z moją terapeutką. Potyczki z urzędnikami uczyniły mnie silną, twardą i niezwyciężoną. Panno Helbig, jest pani proszona o niezwłoczne opuszczenie terenu Republiki Federalnej Niemiec. Panno Helbig, jest pani przesłuchiwana, prześladowana, skazana, łamie pani prawo obowiązujące obcokrajowców, niemieccy przodkowie ze strony ojca, każdy może sobie coś takiego ubzdurać, won, won, wooon!!!*

Figa z makiem. A pietruszka z pasternakiem.

Boję się. Nie tylko kolejki nadziemnej. Także normalnego metra. Że jakiś szalenięc wpadnie w amok. Głośno mnie zaczepi. Albo rzuci się na tory. Dlaczego wszyscy rzucają się na tory właśnie wtedy, gdy stoję w pobliżu? I jeszcze uśmiechają się do mnie, leżąc w najlepsze na szynach? Kierunek Alt-Tegel zuuurück... bleiben bitte – poooozo- stać... na miejscu. Czasem lektor robi dłuższą przerwę po „pozostać”, jakby to był już koniec, żeby potem na śmierć wystraszyć spóźnio-

nych podróży tym „na miejscu”... Bo przecież nikt nie chce zostać na miejscu. W tyle, nieruchomo i bezgłośnie. Ci kreatywni lektorzy w metrze – to coraz częściej nasi kochani, zaadoptowani współobywatele z obcych krajów, którzy w Niemczech do czegoś doszli, można to łatwo poznać po tym, jak wołają nie „zurück”, ale „surück” albo jakoś podobnie. Nie nazywa się ich cudzoziemcami, Turkami, Cyganami, Rosjanami, Polakami, to po prostu nie brzmi ładnie. Każdy to już wie. Tylko w Berlinie Wschodnim niektórzy wciąż jeszcze tego nie łapią. Trzeba będzie ich nauczyć tej językowej akrobatyki.

W metrze denerwujące jest poza tym takie rozmieszczenie siedzeń, że trzeba się wzajemnie na siebie gapić, albo uparcie uciekać wzrokiem, żeby nie rzucać się w oczy artystom, przepraszam, pasażerom z naprzeciwka. Niektórzy z nich tylko czekają, żeby wylać na ciebie potok gorzkich skarg – na zasrane społeczeństwo, które ich nie chce, a które dziś właśnie tobie przyszło reprezentować. Dlatego też ludzie udają, że śpią albo, nieco zażenowani, po kryjomu czytają rozłożony przez sąsiada „Bild” („Pasażerowie utknęli w tunelu. Śmiertelny strach.”) i już po wszystkim. Tylko trzeba uważać, żeby nie mieć dziurawych skarpetek, bo ludzie z zakłopotania nawzajem oglądają sobie stopy.

Turcy, którzy – podobno – drogimi brykami i z piskiem opon tarasują drogę niemieckim rowerzystom i to w dodatku – *o tempora, o mores* – w bezpośrednim pobliżu Bramy Brandenburskiej, ci skądinąd bardzo mili Turcy niekiedy zagadują do mnie po turecku, chętnie przyjęliby mnie do swojej islamskiej wspólnoty, po prostu koniecznie chcą mnie mieć i myślą, że mój niemiecki to tylko takie udawanie. Moje przekłete czarne włosy, ufarbować je, ufarbować, obciąć. A do tego jeszcze ten całkiem niegermański wyraz twarzy, pełen serdeczności, zmieszania, naiwności i dobroci, którego nie da się ani ufarbować, ani obciąć. Farbowanie zresztą pogorszyłoby tylko sprawę. „Skąd pani jest? Nie z Turcji? A ja owszem. Niech pani kupi sandały dla dziecka, piękna pani.” (Niemcy mówią co najwyżej „panno”, ale to akurat trudno uznać za komplement, raczej, wręcz przeciwnie, za aluzję do zaawansowanego wieku rozmówczyni.) „Ty Polka?” – pytają mnie Turcy. „W Polsce piękne kobiety. Gówniane Niemcy” – mówią i chcą się ze mną bratać. Jestem im taka wdzięczna za pierożki ze szpinakiem. Wszędzie ich pierożki ze szpinakiem i owczym serem, wszędzie ich żony, dzieci, chusty na trawnikach... *Nie mam nic przeciwko współobywatelom, tyle tylko, że jest ich za dużo i nie tam, gdzie trzeba...* Czy my Polacy nie jesteśmy przypadkiem trochę szlachetniejsi, nie mamy właściwszej religii, nie wpasowujemy się lepiej w obraz cywilizowanej ulicy? Jeszcze się okaże, kogo Niemcy lubią bardziej!

Kiedyś do metra wsiadła stareńka niemiecka babcia. „Niech pani nie myśli, że ktoś tu pani ustąpi miejsca” – przywitały ją dwie młode, piękne Turczynki – „Nie tutaj, w Berlinie”. Babcia słuchała ich ostrzeżeń zdezorientowana i w poczuciu winy. „Nie tu, w Berlinie, nie w Niemczech. Nie jesteśmy niestety w Istambule. Jesteśmy w Niemczech... W zimnych, nieludzkich Niemczech...” Dziewczyny od razu dojrzały we mnie sojuszniczkę i próbowały – ku mojemu utrapieniu – zachęcić mnie do poparcia wymownymi spojrzeniami. A ja trzęsłam się tylko ze strachu, że któryś z oskarżanych dłużej nie wytrzyma i otworzy buzię, albo podniesie rękę. W metrze panowało zakłopotane, ciężkie od historycznej winy, a może tylko znudzone milczenie, nikt nie podniósł ręki, nikt też zresztą nie ustąpił miejsca. Któżby dobrowolnie odstąpił własne miejsce siedzące? Kogo dziwi jeszcze cokolwiek w Berlinie...

Tak, panno Helbig, jesteśmy w Niemczech. Niech sobie to pani dobrze zapamięta. Niech sobie to pani mocno wbije do głowy. Jesteśmy w Niemczech – powiedział jakiś niemiecki dziadek do mojego ciemnowłosego dziecka w autobusie na Kreuzbergu, bo stało mu na drodze i poczuł się zbyt osaczony przez Turków i Turczynki. Ja, polska matka dolorosa, członkini „Klubu zatroskanych matek polskich”, który naprawdę istnieje, a jeśli nie, to trzeba założyć go czym prędzej, przesyłam staruszka palącym, wyniosłym wzrokiem: „Coś pan mówił?”. Wiem, że powinnam była milczeć. „Wy darmożjady, co wy tu robicie w Niemczech, ja pracuję i płacę już od czterdziestu lat podatki, a wy, a wy, a wy...” – „Ja też pracuję...” – „Wcale nie pracujecie! Nic nie robicie! Wy...” – „Ja też pracuję. Poza tym w ogóle nie jestem Turczynką, to znaczy, nie jestem cudzoziemką, tylko...” – „Wcale nie pracujecie!”... Już nawet uniósł pięść i prawie by mnie uderzył. Jego wargi i ręce drżały. Powinnam była milczeć. Milczeć. Milczeć. Jego żona chwyciła go za ramię i wyciągnęła z autobusu. Rzuciła mi spojrzenie pełne dezaprobaty. Rozszlochałam się, rozszlochało mi się dziecko, niemiecka współpasażerka, która cały czas wymyślała dziadkowi słowami „Co za cham, ubliżać obcokrajowcom”, zaczęła mnie pocieszać: „Wie pani, wszędzie znajdują się tacy nieżyczliwi ludzie..”, Panno Helbig. Niech sobie pani nie bierze tego do serca. *Milego dnia życzę...*

Skąd ten Rosjanin wiedział, że rozumiem po rosyjsku? Czy wyglądam na taką, co mówi po rosyjsku? No skąd! Ale w sumie to uwielbiam Rosjan. Śpiewają takie nostalgiczne pieśni na dworcu przy Friedrichstrasse i nie przesadzają z tym całym porządkiem, czystością i *higieną*. Uwielbiam ich, ale tylko pojedynczo, ze względu na te dwa słynne młyńskie koła, Niemcy i Rosję, które już od zawsze chciały kolektywnie i do spółki zetrzeć nasz kraj na proch. Uwielbiam ich, bo nie są tacy sztywni i prostolinijni jak Germanie

(których rzecz jasna też bardzo lubię). Rosjanie są na luzie i pełni jowialnej serdeczności. Możliwe zresztą, że wcale ich nie uwielbiam. Są przecież wypartym i wykrzywionym obrazem nas samych – za jakich w żadnym razie nie chcielibyśmy uchodzić... To drugie dno naszej polskiej duszy, ciemna słowiańska strona naszej od zarania dziejów na zachód zorientowanej kultury, która w ostatnich latach awansowała do rangi bufora chrześcijaństwa i muru obronnego przed niebezpieczną Europą...

Ja osobiście naprawdę jestem nastawiona na zachód i na wskroś europejska, i najlepiej gdybym w ogóle nie była obcokrajowcem, jednak moja ignorancja i przerażająca, kompromitująca niekompetencja przy wymawianiu „r”, jak też moja słabość do niedzielnych mszy w polskiej misji katolickiej co i rusz wychodzą na jaw. Niekompetentni są wprawdzie też urzędnicy na dworcu przy Friedrichstrasse, nawiasem mówiąc, sami byli enerdowncy, no jasne, skąd my to znamy – odzywa się we mnie niepytany głos. Pieniądze przyjmują chętnie w gotówce, ale wpłaty zwrotne tylko przelewem na konto, dopiero wtedy, gdy wypełni się wniosek w trzech egzemplarzach i przez pół godziny posterczy przy okienku, przed szyldem „Proszę czekać tutaj”, z dziwną, w dół skierowaną strzałką, na której końcu tkwi wzburzony ludzki tłum. W takiej chwili budzą się w człowieku mordercze instynkty. Z kolei, jeśli chodzi o Wessis, to w międzyczasie w zawrotnym tempie rozpanoszyli się na wschodzie i wydaje im się, że to oni są tu górą. Mówią, że ta cała wymiana elit umożliwia młodym zachodnim idiotom robienie niestychanych, zawrotnych karier. Z bezprzykładną arogancją, skrywającą ich bezdenną niepewność i nieśmiałość, obejmują wysokie stanowiska, a wokół nich nieustająco krążą szeptaki pełne obawy i pogardy: on jest *stamtąd*... Lepiej by zrobili, zostając u siebie. Wessis go home.

Mimo wszystko zaprzyjaźniłam się i z Ossis, i z Wessis, co mi szkodzi. Niektórzy z nich są dla mnie tylko trochę za sztywni, nawet jeśli aż do świtu przesiadują w swoich modnych knajpach. Niełatwo im wznieść się ponad tę sztywność. Podobnie jak Polacy z trudem przewyciężają swoją patriotyczno-religijną drażliwość. Zasadniczo Niemcom nie wolno się nawet po przyjacielsku ucałować, mogą się co najwyżej z odpowiedniej odległości poklepać po ramieniu, w ostateczności zetknąć policzkami, jak przyjdzie co do czego. Za to Polacy całują się za dużo, za głośno, zbyt żywiołowo, trzykrotny całus na powitanie i pożegnanie to jednak już lekka przesada. Co poniektórzy rzucają ci się od razu do ust i przyciskają swoje wargi mocno i soczyście do twoich, nawet gdy waszym relacjom daleko do miłosnej zażyłości. A mnie to trochę brzydzi, bo ja...

Tu nie mówi się „ich”, ale „ik”, nie „zwei”, ale „zweie”. Nie „Gemälde”, ale „Jemälde”. Panorama-Jemälde we Wrocławiu, Koś-

ciuszko pod Raclawicami w 1794. Wielki polski powstaniec-bojownik. Za wolność i niepodległość. Niejeden z niemieckich przyjaciół Polski i Polaków podziwia to dzieło. 1794... Dziewięć lat wcześniej, dziewięć lat przed trzecim rozbiorem Polski przez Prusy, Rosję i Austrię moi przodkowie ze strony ojca przybyli z Nadrenii do Galicji. Kolebkę moich praojców założył austriacki cesarz Józef II, składała się z 12 osadników. Wśród nich byli Bischoff, Helbig, Volz i Keller. Przy pługu, w znoju kraj budować, we wschodnie, polskie szli rubieże. *Wzniesli nasz dom pilnością, siłą... Niemieckich nauk, praw i wiary żadna nam siła nie odbierze! A naszych dziątek oczu błękit, a matek naszych mądrość...* Gdzie podziały się te błękitne oczy, ja się pytam, chętnie pociągnęłabym tu przodków do odpowiedzialności. *Niemiecki pług i rodzaj nasz, niech wciąż im się powodzi, w jedności trwajmy zjednoczeni, niemiecki szczep na Wschodzie.* A dzisiaj? Co tam jest dzisiaj, na granicy polsko-ukraińskiej? *Święta ojczyzno, wiosko, lesie, próżno wyglądam was z daleka... gdzie dawniej głos niemiecki niósł się, dzisiaj pies nawet nie zaszczeka.*

Tak czy siak, na obczyźnie najszybciej nawiązuje się kontakt z rodakami. Ubiegłego lata my, Polacy, obsadziliśmy piaskownicę naszymi dziećmi i bywało dosyć głośno. Każdego miłego weekendu omawialiśmy tam nasze małżeńskie problemy. Dobrze wychowani, dyskretni Niemcy nie pokazywali się, a nam ich wcale, tzn. oczywiście bardzo brakowało. Ich dzieci najczęściej już od dawna spały. One do łóżka, a rodzice mogli wybrać się do lokalu, o ile odpowiednio wcześniej postarali się o nianię. My jesteśmy pod tym względem o wiele bardziej elastyczni, spontaniczni, bez sztywnego planu. Jakże nam nie w smak ten pruski porządek i organizacja, i jednoznaczność, i wierność pryncypiom, i to wieczne dotrzymywanie słowa, i traktowanie wszystkiego, co się mówi i robi tak nieubłaganie serio. My jesteśmy akurat nieco inni, my handlarze, złodzieje samochodów, dzieci chaosu, anarchiści, my republika szlachecka, sami winni rozbiorem, nigdy nie zjednoczeni, zawsze nieporządni, zawsze tylko szabelka, zawsze spisek, konspiracja, maska i intryga, i krew.

Ten chłopiec ma pełne, zmysłowe wargi i zadaje wiele pytań. Interesuje go polska historia. Pyta, draży, chce znać fakty. Jego rodzice są lekarzami, on też powinien raczej uczyć się czegoś innego niż języka polskiego. Chłopca jednak ciągnie do Polaków. Nawet jeśli przy najlepszych chęciach stan ich toalet nieco go odrzuca. Taki rodzaj młodego miłośnika Polski, tylko ten polski antysemityzm, i ten, jakże mu tam, ten mesjanizm, to nie daje mu spokoju. Że wciąż tak niepokoją swoich zmarłych. Nie dają zmarłym umrzeć spokojnie. I że tak dziwacznie zachowują się tu na Zachodzie... Albo chwala się swoją polskością, żeby zrekompensować kompleks mniejszości manią wielkości, albo się jej wypierają i twierdzą, że nigdy nie mieli

z nią do czynienia. Zapierają się własnego imienia, zacierają wszystkie ślady. To mu daje do myślenia...

Inteligentna młoda Polka nie miałaby nic przeciwko, żeby ten chłopiec się nią zainteresował. Niemcy są podobno porządnymi mężami – nawet jeśli daleko im do biegłości w sztuce flirtu. Wierni i oddani, konkretni, akuradni, współczujący i bardzo czyści. Tylko, co weekend muszą mieć ciasto własnej roboty. I przykładnie kwitnący balkon. Żadnych zastrzeżeń przeciwko młodej Polce na kanapie.

Za moją siłę do życia... żebrze codziennie znana staruszka, która snuje się jak duch po każdej linii metra, wygląda jak kostucha i kasuje masę drobniaków. „Dlaczego obcokrajowcy nigdy nie żebrzą w metrze – zagadnął mnie ktoś mimochodem przy Kottbusser Tor. – Oni wszyscy są dobrze odżywieni! Jeszcze nigdy nie widziałem Murzyna czy Turka żebrzącego w metrze! To wszystko tłuściochy. Oni wszyscy mają stoiska z owocami, już oni nie pójda na dno. Tylko dla Niemców nie starcza.” Na tym kończy się ten raport. I światło gaśnie, Ende, Schluss.

Brygida Helbig

Przełożyła z niemieckiego Karolina Sidowska

Opowiadanie Brygidy Helbig, w oryginale *Für meinen Lebensmut. Polin in Berlin. Ein Diskurs-Schauspiel* ukazało się w „Polen und wir” (nr 4 / 1997), czasopiśmie wydawanym od 1984 r. przez Niemiecko-Polskie Towarzystwo Republiki Federalnej Niemiec.